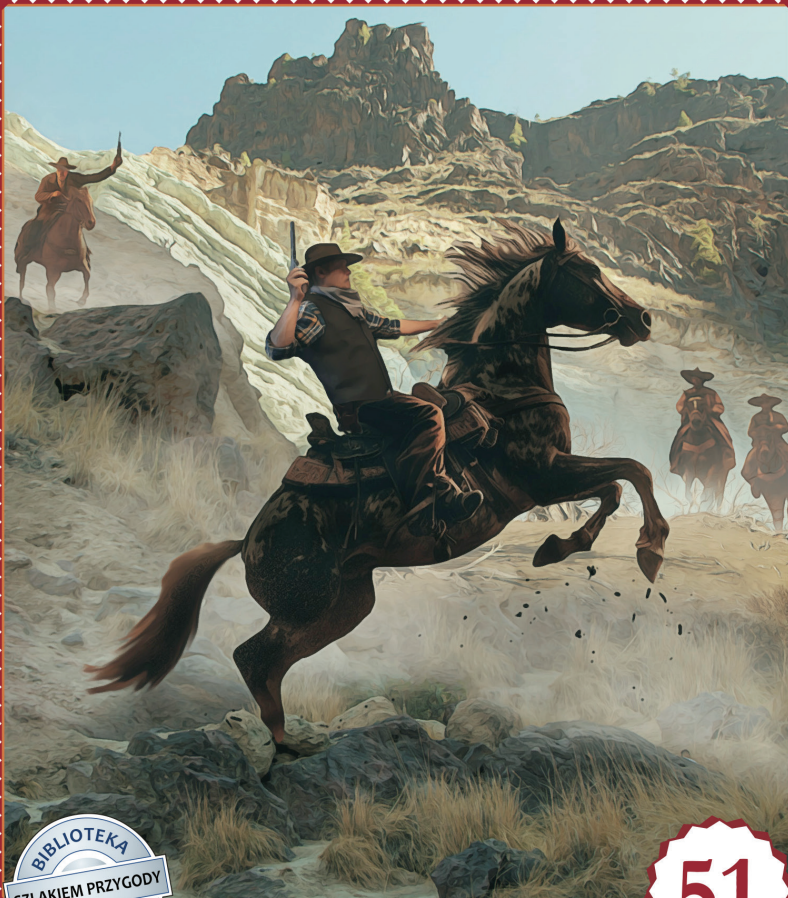




Max Brand
Nadjeżdża Montana!
Pierwsza część cyklu „Montana”



51

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-67876-42-1 (część 1)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

NADJEŹDŹA MONTANA!



Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante w Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłośnik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętą akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarni po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



NADJEŹDŹA MONTANA!

Przełożył i przypisami opatrzył Dominik Wróblewski

**Sto czterdziesta siódma publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty pierwszy tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Montana Rides!

© Copyright for the Polish translation by Dominik Wróblewski, 2024

10 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek,
2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Monika Fabiszak
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-42-1

Rozdział I

Kiedy szeryf¹ wprowadzał Kida², w poczekalni czekało już dwóch ludzi pod strażą i zakutyh w kajdanki. Jeden z nich miał malaryczny wygląd południowca, a drugi przypominał pijanego rzeźnika. Na widok wchodzących ten drugi stwierdził:

– O, jest.

Jego kolega, o pociągłej i tłustej, żółtej twarzy, spojrzał bystro na wprowadzanego.

– Zgadza się – stwierdził. – Ma ich.

Kid zatrzymał się, ale strażnik pchnął go w plecy dubeltówką, a szeryf, dobywając dwóch rewolwerów, niczym sztukmistrz wyceLOWAŁ mu w głowę. Kid, nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, spokojnie, lecz uparcie przyglądał się więźniom, a oni jemu.

– Wy dwaj, myślicie, że mnie znacie? – spytał. – Nic z tego. Nigdy nie upadłem tak nisko jak wy. Radzę przestać się gapić albo zedrę wam skalpy z łbów.

Zachowywał się tak jak gdyby był sam na sam z więźniami, a wycelowane w niego spluwy nie stanowiły żadnej przeszkody. Obaj, jak na zawołanie, przestali się gapić, a Kid eskortowany przez szeryfa i strażnika wszedł do kancelarii.

– Przykuć go do krzesła – rozkazał szeryf.

Kiedy strażnik wykonywał polecenie, Kid zręcznie wyciągnął mu z kieszeni tytoni marki *Bull Durham*³ i bibułkę, po czym wprawnym ruchem skrzył sobie papierosa.

¹ *Szeryf* – w Stanach Zjednoczonych urzędnik lokalny o uprawnieniach administracyjnych i sądowych.

² *Kid* (ang.) – dziecko, dzieciak, młodzik.

³ *Bull Durham* – popularna marka tytoniu w Stanach Zjednoczonych, przez W. T. Blackwell & Company w Durham, Karolina Północna od lat 1850-1988.

– Proszę, sprawność rąk w zamian za ogień – rzekł młodzieniec.

Strażnik poznał swoją własność, ale nic nie powiedział. Zapalił zapalkę z uśmiechem, lecz w jego oczach widoczny był strach. Kid nawet na niego nie spojrzał.

– W porządku, Bob. Możesz odejść – powiedział szeryf. – Zaczekaj w pokoju obok i przypilnuj te dwie szuje.

– Robi się – mruknął strażnik i wyszedł.

Kid rozsiadł się wygodnie, przymknął oczy, potem lekko je otworzył, wydychając cieniutką smugę dymu, przez którą najpierw popatrzył na szeryfa, a potem w okno na matową połąć pustyni i malownicze zbocza skalnego płaskowzgórza.

– Zwą cię także Świrusem, prawda? – zagadnął szeryf.

Kid milczał, więc szeryf mówił dalej:

– Zwą cię też Świrusem. Mógłbyś być nieco szczery. Obiecuję ci, że jeśli odpowiesz mi na parę pytań, to będziesz wolny. Nie mam nic przeciwko tobie, ale jeśli nie puścisz pary z gęby, to posiedzisz sobie w celi, aż nabierzesz rozumu. Lepiej zacznij gadać. W niczym ci to nie zaszkodzi, a może wręcz pomóc. Zwą cię także Arizona i Montana, nieprawdaż?

– Owszem – przytaknął przesłuchiwany i wykorzystując dym z palącego papierosa, nakreślił napis w powietrzu.

– Który przydomek ci bardziej odpowiada?

– Montana.

– Dlaczego?

– Bo stąd do Montany jest dalej.

– Dobrze więc. Mów – ponaglił szeryf.

Kid zmierzył go spojrzeniem swych szaroniebieskich oczu, o barwie morza, gdy niebo zasnuwa się chmurami. Rzadko się zdarzało, żeby na jego opanowanej twarzy widoczne było wzburzenie.

- Zwą mnie też Świrusem – przyznał.
- Widziałeś kiedyś Dzentelmena Jeffa i Turka Faddena?
- Co to za jedni? – Udał zdziwienie.
- Mam to uznać za „nie”?
- Nie okłamuję takich hyclów jak ty – odrzekł troszkę zadziornie – i to jeszcze w takim mieście.

Gładką twarz szeryfa, tuż przy kościach policzkowych, zalała ze złości czerwień, ale umiał się opanować i odparł spokojnym, ostrożnym tonem:

- Mówię o tych dwóch, którym przygadałeś w poczekalni.
- A, o nich. Pewnie, spotkałem ich wczoraj wieczorem u O'Briena. Najpierw zobaczyłem tego wymokłego. Był zalany. Zaczepił mnie, mówiąc: „Niebieski i czarny! Boża doskonałość!”
- Co mu zrobiłeś?
- Nic. Strzeliłem po ryju i poleciał jak długi. Był pijany, a ja nie chciałem rozróżby.

Szeryf westchnął.

– Kiedy cię zobaczyli, jeden z nich powiedział: „Ma ich”. Co to miało znaczyć? Kogo masz?

– Kto wie – bąknął Kid, ukazując ręce.

Szeryf znowu westchnął.

- To wszystko, co o nich wiesz?
- Przecież mówię. Tego z długą twarzą zauważyłem później w tłumie, jak już popsulem ruletkę.
- Dlaczego to zrobiłeś?
- Wydawało mi się, że jest tam hamulec. Straciłem tysiąc pięćset dolarów. Pomyślałem sobie, że jest tam hamulec, złapałem za koło i okazało się, że jest.
- I potem zniszczyłeś lokal?
- Tak, bo to speluna i pracują w nim oszuści.
- A ty jesteś uczciwy, Montana?
- Jeśli oszukuję, to głównie oszustów.

– Mam twoją kartotekę. Niezły z ciebie ptaszek – stwierdził z przekąsem szeryf.

– Nikt mi niczego nie udowodni – odrzekł Młokos.

– Jeśli zaczniesz gadać, daruję ci wczorajszą burdę – powtórzył szeryf. – Osobiście cieszę się, że rozwaliłeś lokal O’Briena i zdemaskowałeś jego szulerski interes. Całe miasto jest ci wdzięczne. Gotowi są nawet ogłosić cię bohaterem za zniszczenie ruletki i postrzelenie O’Briena i jego dwóch ludzi. Swoją drogą, wiesz, że się wylizają?

– Wiem. Nie strzelałem, żeby ich zabić. Nie chciałem strzelać, ale wyciągnęli rewolwery i musiałem się bronić. Nie zabijałbym człowieka za to, że wyłudził ode mnie tysiąc pięćset dolarów. Po prostu byłem ciekaw. To wszystko. Chciałem tylko popatrzeć, jak to się robi, a oni od razu sięgnęli po rewolwery. Nie zrobiłem im żadnej krzywdy.

Szeryfowi nasunęło się pewne spostrzeżenie:

– Hmm... Taka suma nie jest dla ciebie za duża?

– Nie – zaśmiał się Kid. – Miewałem większe.

– Pokaż dłoń.

– Proszę. – Wyciągnął dłoń: dużą, długą ze spiczastymi palcami.

– Nigdy nie miałeś odcisków – zauważył szeryf. – Nigdy nie pracowałeś.

– Nie jestem głupi – zaśmiał się.

Szeryf spojrział na leżącą na biurku kartkę, zapisaną krótkimi zdaniami, maszynowym pismem.

– Masz dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery lata.

– Zgadza się – potwierdził Młokos.

– Zacząłeś karierę, mając około piętnastu lat. Wypłynąłeś w Phoenix¹, gdzie strzelałeś do dwóch ludzi. Jeden z nich umarł.

¹ *Phoenix* – stolica i jednocześnie największe miasto amerykańskiego stanu Arizona; założone w 1861 roku, słynie z rozbudowanej i znaczącej kultury politycznej.

– Pamiętam tych zbirów. Ten, którego chciałem zabić, akurat przeżył. Byłem wtedy żółtodziobem.

– Czemu do nich strzelałeś?

– W obronie własnej.

– Tak, jasne. Zawsze w obronie własnej, jak wczoraj. Ale dlaczego w Phoenix zabiłeś człowieka?

– Ci dwaj pracowali przy spędzie bydła w Phoenix. To oni zaczęli. Chcieli okraść pijaka, ale najpierw musieli się mnie pozbyć. To wszystko. Temu, którego powinienem zabić, złamałem tylko nogę. Już powiedziałem, byłem żółtodziobem.

Szeryf szerokim palcem przesunął w dół listy.

– Tego samego roku pojechałeś do Meksyku, skąd musiałeś uciekać. Ponoć zabiłeś trzech Meksykanów. Co ty na to?

– Nic. Na południe od Rio Grande¹ tracę pamięć. Nie pamiętam niczego takiego.

– Dobrze. W wieku około siedemnastu lat zastrześliłeś niejakiego Wesa Dentona w centrum San Antone².

– Jego dziewczyna poskarżyła mi się na niego. Zresztą, każdy miał prawo go zabić. Popełnił tyle zbrodni. Nie chciałem, żeby mnie ktoś uprzedził.

– To też było w obronie własnej?

– Pewnie. Wysłałem mu depeszę i swój rysopis, by się przygotował. Kiedy się spotkaliśmy, pozwoliłem mu oddać pierwszy strzał.

Szeryf kiwnął głową i spytał:

– A jak było z Rolliem Gannetem?

¹ *Rio Grande* – rzeka w Ameryce Północnej; źródła w Górach Skalistych w amerykańskim stanie Kolorado; w górnym biegu rzeka płynie na południe, przez stan Nowy Meksyk, następnie na południowy wschód w stanie Teksas; wpływa do Zatoki Meksykańskiej, kończąc swój bieg; przez dwa tysiące kilometrów wyznacza granicę między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem.

² *San Antone* (San Antonio) – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Teksas; nazwane ku czci św. Antoniego z Padwy.

– Rollie oszukiwał w kartach. Wyciągnąłem mu asa z rękawa, co go wkurzyło. Lubiłem go, ale dobył rewolweru. Nie chciałem mu zrobić krzywdy, ale nie miałem jeszcze wprawy. Celowałem w ramię, lecz kula weszła zbyt głęboko. – Kid pokłamał głową. – Biedny Rollie. A tak ładnie mu szło z minstrelami¹. Mogłem go słuchać całą noc.

– Zabiłeś Pudge’a Grace’a i jego brata? – dopytywał się dalej szeryf.

– Posłuchaj, chłopie – rzekł Kid, pochylając się lekko wprzód. – Nie jesteś, szeryfie, taki głupi. Wiesz, że cała ta kartoteka jest wyssana z palca. To bzdura. Z braćmi Grace zamieniłem kilka słów, a oni zginęli od kuli, zanim skończył się rok. To wszystko. Kiedy przekęcili się do góry nogami, każdy sobie przypomniał o naszej sprzeczce. Ich przyjaciele byli awanturnikami, którzy próbowali mnie zastrzelić. To wszystko, to nie moja wina. Prawie cała ta lista jest zmyślona, a pan powinien to wiedzieć.

Kończąc, Kid zapadł się głębiej w krzesło, jakby zaniepokoił się, że powiedział zbyt dużo.

– Pojechałeś do Meksyku, żeby się leczyć. Po roku uciekłeś przez rzekę pod ogniem rewolwerów, ścigany przez prawie dwudziestu Meksykanów.

– Mówiłem już, że meksykańskie przygody zatarły mi się w pamięci – odparł Montana. Oparł wygodnie swoje szerokie ramiona o poręcz krzesła, a jego oczy z powagą obserwowały zniszczoną, niemłodą twarz szeryfa. – Meksyk i Meksykanie to obrazki przesłonięte mgłą – dorzucił.

– W Mogollons² zabiłeś Dicka Warrena – ciągnął szeryf.

¹ *Minstrelsy* (*Minstrel shows* lub *minstrelsy*) – XIX-wieczne amerykańskie widowiska rozrywkowe, na które składały się: parodie, piosenki, skecze, tańce czy zabawne scenki rodzajowe; w widowiskach grali biali aktorzy parodiujący osoby czarnoskóre; obecnie te widowiska uważane są za rasistowskie.

² *Mogollons* – miasto w Stanach Zjednoczonych, tu: prawdopodobnie chodzi o małe miasteczko w stanie Teksas albo w stanie Arizona.

- Brednie.
- A co z Chudzielcem, Jimem Wranglem?
- Nie wiem, o kogo chodzi.
- Doprawdy? Bo ja tak. A co z Purvisem i Bentleyem?
- Brednie – rzekł Kid, marszcząc brwi.
- Chcesz mi oczy zmydlić?
- Słuchaj, Purvis był moim przyjacielem.
- A Świętoszek Leger?
- W obronie własnej – mruknął Montana. – Zaczyna mnie to nudzić, szeryfie.
- Owszem, a ja mam tu całą litanię nazwisk.
- A mnie już język boli od tego gadania. Nic więcej nie powiem.
- Dokąd zmierzasz tym razem? Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? – zapytał szeryf.
- Po prostu szukam miejsca, gdzie mógłbym się ustatkować.
- Dobra myśl. Mógłbym ci wskazać miasto, gdzie poczułbyś się jak w domu – rzekł szeryf.
- Serio? – zainteresował się młodzieniec. – Niech pan powie, gdzie jest to miasto?
- W piekle – zadrwił szeryf, po czym zdjął mu kajdanki.
- Kid wstał.
- Zostałem tu dobrze potraktowany – rzekł powoli, sarkastycznym tonem.
- Tak, chłopie, z pewnością. I pewnie mi tego nie darujesz, ale chciałem z tobą porozmawiać. Nie wyglądasz na przestępcę. Raczej na kogoś, kto mógłby się ustatkować, biedaku.
- Wskazał na drzwi.
- To wszystko. Możesz iść do więzienia, odbierzesz swoje pistolety i resztę rzeczy.
- Dzięki. Zapamiętam cię.

Młodzieniec wyszedł do poczekalni, przystanął na chwilę, przyglądając się Dzentelmenowi, Jeffersonowi Leffingwellowi i pijackiej mordzie Turka Faddena. Obaj nie odwzajemnili spojrzenia, lecz uważnie przyglądali się szpantom w podłodze. Po chwili opuścił biuro i podążył do więzienia.



Rozdział II

W więziennych drzwiach znajdowało się małe okienko, przez które dozorca podał Montanie portfel, dwa colty¹, dwie kabury do noszenia pod pachami, nóż, dwie czyste chusteczki do nosa, tytoń, bibułki i resztę drobiazgów. Odezwał się dopiero wtedy, gdy wszystko schował.

– Chcę się zobaczyć z Charliem Teksasem.

– Nie ma mowy – odpowiedział dozorca. – Teksas zabawi u nas dłużej i ma zakaz przyjmowania gości.

– Dobra, dobra. Otwieraj te drzwi i mnie przepuść albo przyprowadź mi go tutaj. Zrozumiałeś?

– A idź do diabła – obruszył się dozorca.

– Rób, co mówię albo rozwalę ci tę twoją budę i przywalę ci w ten pusty łeb. Już mam dosyć tego miasta – dodał Kid łagodnym, lecz nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Dozorca obrzucił go stekiem przekleństw, ale zasępił się przez chwilę. Stwierdził w końcu:

– Poczekaj tutaj. – Po czym zniknął.

Trwało to krótką chwilę. W okienku pojawiła się młoda, przystojna twarz. Jej cera była tak śniada, że zęby w uśmiechu wydawały się olśniewająco białe.

– Cześć, Montana! – zawołał więzień miękki, radosnym głosem.

– Za dzień lub dwa będziesz wolny – zaczął Kid. – Dokąd potem się udasz?

¹ *Colt* (rewolwery colt) – marka i popularna nazwa ręcznej broni bębnekowej (rewolweru) oraz wielu typów broni palnej.

– Za tobą. Gdziekolwiek ty, tam i ja – odpowiedział bez wahania młodzieniec.

– Nie możesz za mną się włóczyć, Cringle.

– A czemu nie? – zdziwił się Cringle, a przy tym twarz mu się wydłużyła.

– Jesteś zbyt młody. Wracaj do domu.

– Nie ma mowy – rozgniewał się młody. – Ojciec...

– Wiem, co ci zrobił – przerwał mu Kid. – Ale też wie, że popełnił błąd i tęskni za tobą. Wracasz do domu.

– Nawet mi nie mów – upierał się dalej.

Kid nachylił się do okienka, widać było, że minę miał nietęgą.

– Rób, co ci każe – odparł z naciskiem. – Jeśli złapię cię na szlaku, to pożałujesz, że się urodziłeś. Masz wracać do domu. Ojcu powiesz, że przez rok będziesz chodził jak w zegarku. Przez ten czas będziesz robić dokładnie to, co ci każe. Będziesz go słuchał i spełniał wszystkie jego zachcianki. Pod koniec roku, gdy okaże się, że nie możecie ze sobą wytrzymać, ruszysz swoją drogą. Jeśli będę żyw, łatwo mnie znajdziesz. Rozumiesz?

– Dlaczego? – spytał smutno chłopak. – Montana, dlaczego?

– Bo tak ci każe – odpowiedział z groźnym błyskiem w oku.

– Wyjechałem z fasonem, a teraz wrócę jak włóczęga... w łachmanach. Ta, jasne. Już widzę jego twarz! Nie odważę się!

– O to się nie martw, wrócisz w porządnym ubraniu i z pieniędzmi. Masz, łap. – Rzucając mu sakiewkę, zawołał dozorcę. – Ej, otwierać!

Obok więźnia ukazała się twarz dozorecy.

– Tu jest osiemset dolców. Przechowaj je dzieciakowi. Oddasz mu, jak będzie wychodził z więzienia. Całą sumę. Zrozumiałeś?

– Dobrze, chłopie.

– Nie wezmę – oburzył się młodzieniec.

– Weźmiesz, głupcze! – warknął Kid. – Słyszysz, co mówię? Będziesz miał dużo czasu, żeby spłacić mi dług. Kupisz sobie

ubranie i bilet na pociąg. Jedź do domu. Na powitanie powiesz ojcu, że wpadłeś tylko na moment, zobaczyć, co u niego. Wkrótce znów będziesz w siodle. Masz pieniądze. Zobacysz, co będzie. Daj swojemu ojcu szansę, to porządny człowiek.

- Więc chcesz, żebym wrócił? Montana, ty tak na serio?
- Pewnie. A tu masz pieniądze na drogę.
- Mój Boże! – zaszlochał więzień.
- Uspokój się! – zbeształ go.

Z okienka wysunęła się ręka młodzieńca, którą Kid potrząsnął.

- Trzymaj się, chłopcze!

Odwrócił się i zwijając papierosa, poszedł w kierunku miejskiej stajni. Idąc wzdłuż ulicy, mijali zasłony w sklepach. Trzymał się ich zewnętrznej strony, aby być jak najbliżej filarów. Z jednego wyskoczył na próg sklepikarz, zmuszając Kida do uskokowania w bok jak kot. Nie wyciągnął broni. Nigdy po nią nie sięgał, jeśli przeciwnik nie uczynił wymownego gestu ręką. Dokończył papierosa, stając na progu szerokich ciemnych drzwi stajni.

- Przeprowadź mi konia, Juan – rzucił do Meksykanina.

– *Si*¹, *señor* Młuołos – odpowiedział stajenny, lekko przeciągając jego ksywkę i znikając z szerokim uśmiechem. Nie tylko znał tego młodzieńca, lecz także doświadczył jego hojności.

Ktoś przeszedł ulicą. Kid najpierw spojrzał kątem oka, by potem odwrócić się całkowicie i stanąć twarzą do zbliżającego się osobnika. To był Turk Fadden i ta jego pijacka mordka. Szedł raczej nieśmiało, jakby stąpał po lodzie, który w każdej chwili może się pod nim załamać, a nie po pustynnym pyle ulicy. Ostrożnie unosząc nogi, patrzył na Kida. Gdy zbliżył się wystarczająco, zaczął:

- Przepraszam...
- Do rzeczy – pośpieszył go Kid.

Turk Fadden na moment odważył się spojrzeć w jego szaroniebieskie oczy.

¹ *Si* (hiszp.) – tak.

– Musiałem się z tobą widzieć. Musimy pogadać, Młokosie. Nie bój się, to nie zasadzka. Miliony. Najlepszy interes w życiu. Wchodzę w to! Słuchaj, wchodzę w to! – paplał jak najęty.

– Do rzeczy.

Twarz opryszka przybrała na szarości. Na jego policzkach zalsniły krople potu.

– Mój Boże! Kid, ty nic nie wiesz. Ty nic nie wiesz! Jesteś stworzony do tej roboty. Nikt nie nadaje się do tego bardziej niż ty.

Wskazał na drugą stronę ulicy.

– Tam możemy przysiąść i spokojnie obgadać sprawę. Czeka tam na nas mój wspólnik. Niezły cwaniak. Taki jak ty. Chodź.

– Do rzeczy. Konkretnie – fuknął Kid.

Klasnął w swoje śniade ręce i zamachał nimi, niby to odprawiając Turka.

Ten cofnął się o krok i warknął:

– Strach cię obleciał? Boisz się, że cię zjemy?

Kid drgnął.

– Dobrze – ustąpił. – Mogę sprawdzić, o co chodzi.

Wolnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy, lustrując w międzyczasie pobliskie okna. Kiedy znalazł się przed obrotowymi drzwiami knajpy, pchnął je nogą i wszedł do środka szybkim krokiem. Człowiek jest najlepszym celem, kiedy staje w drzwiach ciemnego pokoju. Będąc w środku, Kid zauważył długą, tłustą twarz Dżentelmena, Jeffa Leffingwella, zajmującego stolik w rogu. Pan Leffingwell wstał i uprzejmie wskazał na krzesło obok. Kid podszedł do niego.

– Miło mi cię poznać – powiedziała tłusta twarz, wyciągając dłoń na przywitanie.

– Dzięki – odpowiedział, udając, że nie widzi wyciągniętej ręki i wygodnie usiadł na krześle.

Leffingwell spojrzał na swoją wzgardzoną dłoń, uśmiechnął się krzywo i również usiadł. Turk zajął krzesło od strony sali, tyłem do lady.

– Czego się napijesz, Kid? – zapytał.

– Małe piwo – odparł młodzieniec.

– Trzy małe piwa, Doc – zawołał Turk.

Przyniesiono im trzy, zmrożone, spienione i przelewające się przez brzegi piwa. Kid podniósł swój kufel lewą ręką, wznosząc toast:

– Za nasze szczęście, chłopcy!

Pozwolił, aby piwo spłynęło mu przez gardło. Wypił je od razu i odstawił pusty kufel.

– Umiesz pić, co? – pochwalił przymilnie Turk. – Widziałem gościa, który wychylił kwartę w osiem sekund. Zmierzyłem stoperem!

– Po prostu to jest talent – odparł Kid. – Co was trapi, chłopcy? Jak wykpiłście się szeryfowi?

– Nic na nas nie miał, tylko same podejrzenia – objaśnił Turk. – A co do okazji... wielka szansa! Tylko bez ciebie nie możemy zaryzykować.

– Niby dlaczego nie?

– Boś uczciwy.


– A dajcie spokój! – odparł poirytowany Kid.

Leffingwell podniósł dłoń, powstrzymując Turka.

– Ponieważ masz niebieskie oczy i czarne włosy – wytłumaczył. – Na tym możesz zarobić miliony, a my powiemy ci, w jaki sposób.



Rozdział III

 co chodzi? – zapytał w końcu po obdarzeniu dwójki swoich rozmówców długim, nieprzyjemnym spojrzeniem. – Jestem zajęty, no chyba że pogadamy o milionach. Wtedy mógłbym gadać z wami cały dzień.

Dżentelmen Jeff uśmiechnął się.

– No właśnie, co do tego – odparł – nacechujemy cię i będziesz wart miliony.

– Co za znak? – spytał.

Leffingwell wziął kartkę papieru i pióro i narysował coś przypominającego kształtem księżyc z kropką od wewnętrznej strony łuku.

– Gdybyś miał ten znak pod skórą, byłbyś wart miliony – powiedział.

Kid drgnął. Nikt by nie zauważył tej zmiany, która w nim zaszła. Skupił się momentalnie i nie zmieniając tonu, zapytał:

– A w jakim miejscu miałby być ten znak?

– Znam gościa – ciągnął dalej Leffingwell – który ma około siedmiu milionów w stadach i ziemi. Plus kopalnie w górach. Prócz tego jego ropa jest na koncesji. Pewne jest to, że ma siedem milionów, żonę, córkę, ale syna nie. Parę lat temu miał porachunki z jakimiś Meksykańcami¹. Długo przebywał na południe od Rio Grande, Młody?

– Bawiłem jakiś czas w starym Meksyku – odparł spokojnie Kid, patrząc Leffingwellowi prosto w oczy. Jego spojrzenie nie wyrażało nic. Ani zaciekawienia, ani chciwości. Równie

¹ *Meksykani*ec – obraźliwie o Meksykaninie.

dobrze mógłby poprosić o papierosa lub obojętnie wyjrzeć przez okno.

– Raz zadzierając z Meksykańcami, zadzierasz z nimi na zawsze. Nie przebacząją. Nigdy. Swoje porachunki załatwiają do końca, aż utłuką gościa – rzekł Leffingwell. – Dopadają cię, potem wyrywają ci serce przez plecy. Wiesz o tym?

– Słyszałem co nieco – odparł Kid. – Mów lepiej o tym znaku.

– Dobra, dobra. Ten cały koleś miał przed laty syna. No, ale zadarł z Meksykanami i ci pewnego dnia porwali mu chłopaka. Odtąd stary nie ustaje w poszukiwaniach, ale na próżno. Łatwo byłoby go poznać, bo dzieciak miał znamię na lewym ramieniu, podobne do gwiazdy i półksiężycy. Coś jak na tureckiej fladze, widzisz?

Kid szybko zaciągnął się dymem.

– Widzę.

– Po tym znamieniu łatwo poznać szczyła. Teraz miałby dwadzieścia cztery lata, niebieskie oczy i czarne włosy! Pewnie byłby wysoki jak jego matka i ojciec. Tylko siostra uprowadzonego jest niska.

Leffingwell umilkł. Zakręcił się nagle na krześle i zawołał:

– Więcej piwa! Tym razem w dużych kuflach.

Kid rozparł się w krześle i przez chmurę dymu czujnie obserwował tę dwójkę. Starał się odgadnąć mroczne i odległe myśli Leffingwella.

Turk Fadden nachylił się nad stolikiem, aż zaskrzypiało mu pod łokciami.

– Ta! Okazja, nie?

Mimo że pochylał głowę, było widać uśmiech na jego twarzy i przekrwione oczy, którymi wpatrywał się w Kida jak draieżne zwierzę.

– Czy moja gęba pasuje do rodzinki?

– Nie. Ani tak, ani nie – poprawił się Leffingwell. – Wszyscy mają bardziej chude i pociągłe twarze. Ale cóż to za różnica, bracie?

– W jaki sposób można by zrobić znamię? I to tak, żeby wyglądało na prawdziwe? – spytał. – Wytatuować?

Leffingwell i Fadden tylko się uśmiechnęli. A Turk nie spuścił z Kida swych żądnych oczu.

– To tylko sztuczka – rzekł Leffingwell. – Byłem na Morzach Południowych i wiem, jak to zrobić. Na znamionach też się znam. Głównie nad tym, jak tylko wpadliśmy na ten pomysł. Od pół roku obaj szukamy właściwego człowieka – z nerwami na wodzy, niebieskimi oczami i czarnymi włosami. Godnego zaufania – kogoś, kto nas nie oszuka.

Kid długo się zastanawiał. Nawet nie tknął kufla z piwem, który stał przed jego nosem. Leffingwell przelał sobie połowę i drugą Turkowi, a Kidowi zamówił świeże. Ale i to pozostało nietknięte.

– Ludzie mówią – rzekł szyderczo Montana – że powinienem się ustatkować.

Znów nastąpiła długa cisza. Turk otwierał usta kilka razy z zamiarem przerwania milczenia, ale napotykał wzrok Leffingwella, nakazujący milczenie.

– A ten ojciec – spytał po chwili zadumy Kid. – Co to za człowiek?

– Starzec – powiedział z pośpiechem Leffingwell, jakby obawiając się innej odpowiedzi kolegi. – Starzec. Stanowczy, niewzruszony człowiek. Nawet złamanego grosza by nie dał żadnemu żebrakowi. Powszechnie znienawidzony. To gad.

Na naprężonej twarzy Kida było widać delikatną ulgę.

– W takim razie w porządku – mruknął. – Trudno byłoby go wyrolować?

– Tak, ale człowiek odważny i z głową dałby radę – odparł Leffingwell.

Montana skinął głową, przytaknął i zapytał:

– Ile chcecie udziału?

– Dla każdego jedna trzecia łupu.

– Jedna połowa dla mnie, druga dla was.

– Ej! Chwileczkę! – zaoponował Turk Fadden.

– Zamknij mordę – wtrącił spokojnie Leffingwell. – Kid to dżentelmen, nie targowałby się bez potrzeby. Zgoda, niech będzie pół na pół. Połowa dla ciebie, druga dla mnie i Turka.

– Skąd taka pewność w moją uczciwość? – zapytał Kid. – Skąd pewność, że się z wami podzielę?

– W każdej chwili możemy cię zdemaskować. Zresztą, też dobrze strzelamy – zaśmiał się Leffingwell.

– Pewnie – dodał Turk, oblizując wargi.

– Krótko mówiąc, mielibyście mnie w garści i moglibyście mnie szantażować tyle, ile byście chcieli.

– Nikt nie będzie ci wchodził w drogę, Młody, chyba że nas zmusisz – rzekł Fadden. – Żadne z nas szuje. Każdy ma tylko jedno życie. Po co mielibyśmy ci się naprzykrzać?

Kid zasępił się na chwilę, po czym rzekł cicho:

– Wszyscy mi mówią, że powinienem się ustatkować.

Wstał i przez jakiś czas przechadzał się tam i z powrotem. Wtem przystanął koło stolika.

– Szemrany interes! – rzucił w przestrzeń.

– Wiesz jak to jest. Każdy musi z czegoś żyć – odparł Leffingwell.

Kid popatrzył na niego uważnie, w końcu odwrócił wzrok i usiadł.

– Nazwisko tej rodziny? – zapytał.

– Dobra! – dyskretnie ucieszył się Dzentelmen. – Powiemy ci wszystko, co chcesz, ale najpierw powiedz nam, co postanowiłeś. Wiemy, że dotrzymujesz słowa. Wszyscy słyszeli o tobie i McRayu. Nim powiemy ci co trzeba, musisz dać nam swoje słowo.

– Rozumiem. Obawiasz się, że mógłbym naznaczyć się u kogoś innego, taa?

– Każdy czasem miewa kaprysy – zaśmiał się usprawiedliwiająco Turk.

– Podamy sobie ręce. – Leffingwell wyciągnął swoją długą, tłustą, żółtą rękę.

Montana spojrział na nią, a potem na twarze swoich kompanów.

– Dam wam moje słowo – rzekł.

Bez względu na to, jak bardzo zależało im na ubiciu targu, to przecież ta pogardliwa wyższość szczeniaka bardzo mocno ich dotknęła. Obaj zmienili się na twarzach. Fadden zaczerwienił się, a Leffingwell zzieleniał.

– Powinniśmy spisać umowę. Bylibyśmy spokojni – zażądał Turk.

– Głupcze! – skarcił go kolega. – Mi wystarczy słowo dzentelmena. Zresztą, taki dokument może wpaść w niepowołane ręce. Powinieneś to wiedzieć.

– Jak tam chcesz. Mi wszystko jedno. Po prostu tak sobie myślę...

– Musimy oblać umowę – zaproponował szybko Leffingwell.

– Ja nie piję – odparł Montana z lekkim grymasem obrzydzenia. – Więc jakie to nazwisko?

– Lavery. Ranczo Richarda Lavery’ego w Bend¹.

Kid gwizdnął przeciągle.

¹ Bend – dolina w Stanach Zjednoczonych, tu: w stanie Teksas.

– Słyszałem o tym miejscu. No, no...

Leffingwell uśmiechnął się radośnie i jak zwycięzca wyprostował się, wysuwając klatkę lekko do przodu.

– Gram tylko o wielkie stawki, brachu – oznajmił Dżentelmen Jeff. – Szkoda czasu na pierdoły. Dla mnie nie ma granic. Czaisz?

– Więc ten stary Lavery jest taki wredny?

– Bardzo.

Kid zadumał się chwilę, a jego usta znów wykrzywiły się kilka razy w gwałtownym grymasie.

– A niech tam! – mruknął w końcu.

– Dobra – westchnął Leffingwell, a Turk Fadden przytaknął posępnie.

– A co mi tam! – powtórzył Kid – Ciągle słyszę, że powinienem się ustatkować – zaśmiał się. – Nareszcie mam dobrą okazję.



Rozdział IV

Droga do Bend dłużyła się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Na domiar złego w upale Kid odczuwał irytujące kłucie w lewym ramieniu, na którym Leffingwell wytatuował mu znamię. Młodzieniec z każdą chwilą zbliżał się do miejsca przeznaczenia – rancza Laverych.

Z wysokości nagiego górskiego szczytu rozejrzał się po okolicy. U podnóża góry od strony nawietrznej obok jamy, leżał krąg kamieni o średnicy dwudziestu pięciu stóp¹. Wewnątrz i na zboczu rosły bujne kaktusy. Łatwo można było sobie wyobrazić, jak za dawnych lat Apacze i Komancze urządzali dwudniowe libacje, upijając się sfermentowanym sokiem, od którego nachodzą człowieka marzenia i dzikie wizje. Stojąc na szczycie, Kid miał wrażenie, jakby patrzył w przeszłość. Jego wzrok dosięgał doliny i wzgórze przeciętego jakby szeroką, krętą, białawą jak kreda linią. Lecz było to coś innego, bo kości ludzkie i zwierzęce wyścielały odwieczny szlak Apaczów, którym od wieków podróżowali na południe podczas ich „meksykańskiego księżycy” i skąd wracali ze stadami zrabowanego bydła, a nierazko z licznymi niewolnikami.

Montana odciągnął swe oczy od przeszłości i skierował na teraźniejszość, w której ujrzał dom Laverych, wznoszący się na wyższej części doliny Lepanto.

Wybielone ściany z niewypalanych cegieł świeciły jak marmurowe. Dom bogacza był wielki, ale w porównaniu z olbrzymimi uskokami zbocza wydawał się domkiem dla lalek. W dolinie

¹ *Stopa* – tu: stopa angielska; miara długości, równa 30,48 cm.

wszystko było ogromne, od czerwonych turni na wschodzie do szarych na zachodzie. Prosta droga, bez zakrętów, przecinała góry w samym ich sercu, prowadząc prosto do Rio Grande.

Dziesięć tysięcy mil kwadratowych gór i dolin rzucających i piętrzących się przed oczyma jak morze skalnych bałwanów. Ich gwałtowność przyjemnie upajała wyobraźnię. Wzrok biegł wzdłuż doliny Lepanto aż ku Rio Grande, gdzie kolosalna wapienna ściana kanionu rozcinała się na przyjęcie leniwie płynącego strumyka.

Oczy Kida jeszcze długo napawały się tym wspaniałym widokiem. Ale musiał jechać. Pchnął mustanga¹ ostrogą². Nie był to koń ani rośl, ani piękny. Miał brzydką linię grzbietu, jeleńią szyję i niezgrabny łeb, ale nogi jak ze stali, a ślepią rzucały ogniste spojrzenie. Montana nie cenił w wierzchowcu ani urody, ani gładkiego chodu. Zależało mu jedynie na wytrzymałości, która zawiezie go najdalej, jak to tylko możliwe. W trakcie tej długiej podróży trzy razy zmieniał konia i podkowy.

Kraina była dla niego czymś nowym, zarówno pod względem powietrza, jak i perspektyw. Wszystko było inne. Nawet rześki powiew o poranku towarzyszący mu podczas jazdy truchtem. Zachodnia ściana doliny lśniła śnieżną bielą, a trawa na stokach połyskiwała szmaragdową zielenią, natomiast jej wschodnia część tonęła w czerwonych i zielonych odcieniach. Razem wszystko stanowiło niesamowity obraz, który stawał się okazalszy z każdym przebytym krokiem.

Wokół rezydencji nigdzie nie było widać żywej duszy. Kid napił konia u koryta zasilanego ze źródła za pośrednictwem

¹ *Mustang* – rasa dziczykałych koni, wywodzących się od koni przywiezionych z Hiszpanii do Ameryki Północnej w XVI wieku przez hiszpańskich konkwistadorów; część przywiezionych koni w różnych okolicznościach dostała się na wolność i wtórnie dziczykała, tworząc nową rasę.

² *Ostrogi* – w jeździectwie metalowe kabłąki zakończone ramionami o różnych końcówkach i o różnej długości, przypinane do butów, wspomagają kierowanie koniem.

dłuższej, zardzewiałej rury. Powiesił siodło z uzdą¹ na kółkach na szopie i wpuścił mustanga na pastwisko przy domu, po czym skierował się ku drzwiom kuchennym. Przez siatkę w drzwiach ujrzał mężczyznę bez nogi w skórzanym fartuchu, hałaśliwie zmywającego naczynia w zlewie.

Kid uchylił siatkowe drzwi, pytając:

– Zjadłbym co?

Kucharz nie odpowiedział wprost.

– Obierz sobie kartofle – rzucił tylko.

Ich cała brytfanna stała na stołku koło pieca.

Kid rozejrzał się, zobaczył pół bochenka chleba i blaszany kubek, a na piecu, w głębi – gar parującej kawy. Wziął więc chleb pod pachę i nalał sobie kawy do kubka.

– Najpierw praca, potem żarcie – sprzeciwił się kucharz.

– Na Zachodzie nie takie są zwyczaje – odparł nieproszony gość najłagodniej, jak tylko umiał.

– Tu nie Zachód. Tu ranczo Laverych. Odłóż żarcie.

– A idź do diabła!

Kucharz porwał ruszt oblepiony po brzegi resztkami żółtego ciasta, zamierzył się i cisnął ostrym kantem w głowę gościa.

Montana uchylił się, ruszt uderzył w ścianę, pękł na pół i z trzaskiem spadł na podłogę. Kuchnię wypełniły metaliczne wibracje. Kid usiadł pod ścianą, przechylając w jej stronę krzesło i zaczął jeść. Kucharz ruszył naprzód z drewnianą nogą, podniósł odłamki rusztu, i zaczął je oglądać.

W końcu powrócił do zmywania naczyń. Tymczasem Kid posilał się beztrząsco. Całą scenę przerwał tętent konia i skrzypienie siodła. Ktoś zbliżał się do domu.

Kucharz wysunął głowę przez okno, by sprawdzić kto to i rzekł:

– Panie Lavery, jest tu jakiś włóczęga. Rzucił we mnie rusztem i zabrał jedzenie. Dobrze, że pan wrócił.

¹ *Uzda* – element uprząży lub rzędu końskiego nakładany na głowę konia.

Kid podniósł się, podszedł do pieca, po raz drugi nalał sobie mocnej kawy i wyszedł przed dom, trzymając chleb w jednej ręce i kubek w drugiej. Jego oczom ukazał się ogromny mężczyzna, siedzący na ogromnym bułanym¹ koniu. Tak prezentował się Richard Lavery. Miał smutne oczy jak chrześcijański męczennik, srogie usta jak wiking, siwe włosy i opuszczone szablówate wąsy. Jego wierzchowiec był godzien wozić cesarza. W rzeczy samej, jeździec robił wrażenie cesarza, ale w odzieniu ranczera.

Lavery zaczął wycierać chustką swoje czarne wąsy, aż zaczęły lśnić.

Kid, niezrażony zachowaniem właściciela, odezwał się śmiało:

– Szukam pracy. Słyszałem, że przyjmuje pan ludzi do wszelkich robót.

– Umiesz rzucać lassem², chodzić koło krów, budować ogrodzenie, objeżdżać pastwiska i strzelać do kojotów? – zapytał Lavery.

– Umiem strzelać do kojotów.

Ranczer przyglądał mu się bez uśmiechu, jakby jego atrakcyjna, szczupła twarz nie była do tego stworzona. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że dopiero co pokonał potężnego przeciwnika lub jest bliski zwycięstwa.

– Przyda mi się tu każdy, byle się nadawał. Chodź.

Kid dojadł ostatni kawałek, dopił kawę i odniósł do kuchni pusty kubek. Kucharz uśmiechał się pod nosem, ale nie podniósł oczu znad zlewu.

Montana wyszedł na zewnątrz i podążył za właścicielem rancza do największej szopy za domem. Szopa robiła za skład wszel-

¹ *Maść bułana* – umaszczenie konia; barwa sierści pokrywającej ciało konia, wraz z barwą grzywy i ogona, uwarunkowana genetycznie; koń o takiej maści ma żółtawą lub popielato-burą sierść.

² *Lasso (także: arkan)* – broń w postaci sztywnej liny sformowanej w pętlę, która jest zarzucana na cel, a następnie zaciskana.

kich narzędzi rolniczych: pługów, kosiarek, grabi, motyk i szufli, nie mówiąc już o rurach żelaznych, trofeach, workach gwoździ i setek innych rzeczy, zarówno nowych, jak i starych, dobrych i zużytych. Szopa na sto stóp była całkowicie zagracona, oprócz kąta, w którym umieszczono kuźnię.

– Bierz kilof i chodź ze mną – rozkazał Lavery.

Ruszył konno przodem, a za nim Kid z kilofem i szufłą na ramieniu. W odległości pół mili¹ od domu, Lavery zatrzymał się przy ujściu wąskiego wąwozu, którym płynął spieniony potok. Wydobywał się z dalszej części ściany. W dole urwiska, przy wejściu do doliny, spowity białą mgłą, znajdował się drugi. Skalna rozpadlina miała dwadzieścia stóp głębokości i dziesięć szerokości. Wzdłuż skraju rozpadliny na przestrzeni ośmiu lub dziesięciu akrów² rozciągał się bujny sad. Gładkie owoce połyskiwały pośród starannie przyciętych gałęzi.

– Zbuduj tamę przy ujściu tego wąwozu – rzekł ranczer. – Łożyisko jest suche przez część roku. Jak tama będzie gotowa, przyjmę cię na stałe, dostaniesz jeść i pić. Do tego czasu ani kęsa!

Zatoczył koniem i odjechał. Siedział w siodle niczym przyku-ty jeździec, był tak sztywny.

Montana spojrzał na narzędzia, potem na wąwóz i na spieniony biały potok. Rzucił kamieniem, patrząc, jak toczy się z prądem, znacząc drogę wytryskami piany.

Usiadł, skręcił papierosa... Twarz miał spokojną, jego oczy miały wyraz lekkiego zadowolenia. Przypomniał sobie, że oczy Richarda Lavery'ego miały szaroniebieską barwę, tak jak jego. Uśmiechnął się szerzej.

Wypaliwszy papierosa, wrócił na ranczo. Z szopy zabрал lekki wózek, na który załadował dwadzieścia części rurociągu. Z kuźni

¹ *Mila* – tu: mila angielska, równa 1609 m.

² *Akr* – jednostka miary powierzchni gruntów używana w krajach anglosaskich, równy 4047 m².



Ruszył konno przodem, a za nim Kid z kilofem i szuflą na ramieniu.

wziął przybory ślusarskie i lampę. Zabrał również cieńszą rurę ze spoiną i zwój ciężkiego węża gumowego z kurkiem na końcu. Potem zaprzęgił mustanga do wózka i pojechał do wąwozu.

Części rurociągu ułożył na dróźce, wzdłuż spadającego wodospadziku, który znikał w poniższym potoku. Ciężko mu się pracowało. Skały były śliskie, teren spadzisty, a rury ciężkie. Wiele godzin zajęło mu, zanim złożył części w całość i je zlutował. Ale pracował bez wytchnienia. Minęła pora lunchu¹. Ścisnął tylko pas i pracował. Miał już rurę długości dwustu stóp, ułożoną wzdłuż ściany wąwozu. Wszystko obłożył gładzi. Nie była to trwała konstrukcja, ale choć na chwilę mogła zastąpić tamę. Wszak przed wykonaniem roboty nie mógł liczyć nawet na kromkę chleba. Gdyby od razu wziął się do zwalania ziemi z kamieniami w ujściu wąwozu, mógłby tak pracować bez skutku nawet cały rok. Woda zmywałaby ziemię tak szybko, jak on by ją narzucał.

Kiedy ułożył wszystkie rury i je zabezpieczył, do wylotu przylutował cieńszą rurę i połączył z węzem gumowym. Potem wspiął się i ułożył wał z gładzi, tak aby zatrzymywały pianę z wodospadu i kierowały potok w górny otwór rury. Teraz woda płynęła zamkniętym kanałem. Białe rozpryski zniknęły, prąd zmienił się w siłę, od której rura drżała i wiła się jak wielki wąż.

Kid zszedł niżej, podniósł gumowy wąż i otworzył kurek. Konstruując ten niezgrabny wodociąg, nie przewidział tylko jednej rzeczy. Uwolniona siła wyrwała mu z rąk gumowy wąż, a strumień wody uderzył go w pierś, powalając go do tyłu. Wąż upadł na ziemię, plując, sycząc, skacząc i wijąc się jak oszalały pyton, tłukąc o ziemię ciężkim mosiężnym kurkiem. Kid zrozumiał, że siła, którą chwilowo udało mu się ujarzmić, prędko zamieni w niwecz jego cały trud. Szybko chwycił podskakujący kurek

¹ *Lunch* – szybki, lekki posiłek spożywany w trakcie krótkiej przerwy obiadowej; znaczeniowo, odpowiednik polskiego drugiego śniadania; posiłek jednodaniowy serwowany bez zupy i bez przystawek, składa się wyłącznie z dania głównego.

i wyteżając swoje siły, przytrzymał go. Wyglądało to tak, jakby trzymał wąż strażacki podczas akcji. Gdy skierował strumień wody na ścianę kanionu, posypały się kamienie i mokra ziemia. Silny strumień był jak duży ostry nóż. Najpierw młodzieniec podciął nim wiszącą grań i warstwę ściany. Ciął gładko, dopóki od góry do dołu nie pojawiła się wielka rysa, a ściana nie ugięła się pod swym ciężarem. Masa ziemi, całe pięćdziesiąt ton zvaliło się z hukiem w łożysko strumienia, całkowicie blokując dolną część wąwozu. Kid nie poprzestał na tym. Zasywał łożysko potoku żwirem i podmywał stoki od góry, dopóki nie utworzyła się tama na odpowiednią wysokość. Złośliwy uśmieszek wykrzywił jego usta, gdy zauważył, że poziom zatamowanej wody szybko się podnosił.

Kiedy skończył, odkręcił wąż i rozebrał rurociąg. Nim załadował wózek, wąwóz był pełen po brzegi. Woda zalewała bujny sad, gładko spłukując ziemię, zgarniając ją jak suchy piach i wyłabiając straszliwe wyrwy między korzeniami drzew.

Zaprzągnął mustanga i wracał na ranczo w różowej zorzy zachodzącego słońca. Wyładował rury, odłożył na miejsce kilof i szufłę, które mu się nie przydały. Wniósł gumowy wąż, czysty i starannie zwinięty. Odstawił cienką rurę i przybory ślusarskie. Poza zużytym lutem nic nie świadczyło o jego pracy.

Serce Kida tańczyło z radości, kiedy wyszedł z szopy i skierował się ku domowi. Harował cały dzień, ale postawił na swoim.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!